



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

Wewszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCEJ

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

ALEXANDER

LESSER.

Malarstwo historyczne polskie, zanim do dzisiejszej świetności w Matejce doszło, długim a twarde trudem wydobywać się musiało na poziom sztuki; długi czas brakło mu wszystkiego: i wiedzy i talentów i samych nawet rąk do pracy. Z początku było bardzo dziecinne: poprzestawało na wytwarzaniu idealnych podobizn królewskich, do których rysów dostarczały, nie rzeczywiste za- bytki i świadectwa, ale własne przywidzenia i upodobania ma- lujących; jeden typ twarzy po- wtarzał się we wszystkich por- tretach, z lekkimi odmianami, niezbędnymi dla złudzenia, cha- rakterystyka wyrażała się gło- wnie w ubraniu głowy, a o tożsa- mości najwymowniej świadczyć miał podpis pod obrazem umie- szczony. O malowaniu wydarzeń do czasów Smuglewicza nie my- ślano wcale; mając tak wielkie, częste i krwawe widowiska boju, nie mieliśmy wcale batalistów, choćby najgorszych. Czasem przy- jechał Włoch lub Niemiec i wy- malował coś na zamówienie; z ło- na samej powszechności nie ro- dzimego nie wyszło. Czechowicz przyniósł z Włoch sztukę bardzo



Alexander Lesser.

już dostojną, na poszanowanie za- sługującą; ale rzeczywiście ma- larstwo rodzime u nas byt wzię- ło wtedy dopiero, gdy organiza- cya życia wspólnego byt swój traciła. Stachowicz w Krakowie, Smuglewicz w Warszawie i Wil- nie tworzyli pierwsze malowidła, historyczne na uwagę zasługu- jące. Stachowicz szczególnie odznaczył się malowaniem wy- darzeń współczesnych i zostawił w nich plastyczne świadectwa ważnych chwil dziejowych. Pó- źniej Piwarski rytował swoje hi- storye Bolesławów Wielkiego i Krzywoustego, które, dzięki ta- nim odtworom, stały się bardzo popularnemi i przed wyobraźnia- mi małych Apellesów *in spe* o- twierały uroczą drogę ojcystego malarstwa historycznego. A po- trzeba było na tę drogę koniecz- nie wejść i nowemi poniej zdążyć siłami, bo tem co doówczas zro- biono, w istocie rzeczy nie odda- lono się bardzo od chwili, kiedy przedstawicielem historii naszej w malarstwie musiał być z ko- nieczności ow tradycyjny szereg królów i mężów wsławionych.— począwszy od Lecha — niegdyś przednia ozdoba zamku w Łowi- czu. Idealne twarze Bacciarelle- go na zamku warszawskim, miały nad tamtymi tylko wyższość deli- katnego, miękkiego, powabnego pędzla. Wszystko razem wzięw- szy, malarstwo właściwie histo- ryczne, to, które opowiada i wy- stawia, w epoce po wojnach Na-

poleońskich wytworzyć było potrzeba, jako coś, co jeszcze wcale nie istniało.

Było to zadanie nie łatwe. Sztuka wogóle, niemając szkół umysłnych a dość zasobnych, niezdolna dojść do dobrych a systematycznych szczepliów z zagranicy, — w ciężkich znajdowała się warunkach. Malarstwu historycznemu brakło nadto jeszcze wiedzy dość szczegółowej, dokładnej, a przystępnej — nie tylko pod względem postaci samych wydarzeń, ale i pod ważniejszym dla malarza względem archeologicznym. Na dwóch uniwersytetach, w Warszawie i w Wilnie, istniały osobne wydziały sztuk pięknych, twórczych i odtwarzających; Kraków miał szkołę rysunkową; ale niskie niezmiennie uposażenie tych instytucji, szczupłość sił nauczycielskich, brak zasobów i wzorów, dorywczość i pośpieszność nauczania, utrudnienie studyów z natury, pewna wreszcie tradycja, która z malarstwa czyniła, jakby powieściopisarstwo robione z książek — wszystkie te okoliczności utrudniały wielce rozwój indywidualnych zdolności i nie jeden może talent zmarniał w atmosferze, w pierwiastki życia ubogiej. Przeto na uniwersytetach, jak w całej prawie Europie panowała, wtedy moda rzeczy greckich, rzymskich i hebrajskich, moda symboliki i allegorii Overbeckowskiej, wreszcie — tego malarstwa religijnego, dla którego Rafael był już zbyt świecikiem. Pod powiewem takiej mody, oczywiście, temata brano raczej z głowy i książki, niż z uczucia i wyobraźni — z duszy żywej, gorącej, zostającej ze światem rzeczywistości i pojęć w nieprzerwanym stosunku tej endosmozy moralnej, która stanowi kardynalny warunek wszelkiej rzetelnej działalności umysłowej i artystycznej.

W takim stanie sztuki i jej dydaktyki u nas wstępował na wydział sztuk pięknych uniwersytetu warszawskiego, po skończeniu Lyceum Lindego, Alexander Lesser. Urodził się w Warszawie w roku 1812: ojciec jego prowadził w gmachu Teatru Narodowego jeden ze znaczniejszych handłów w stolicy. Naukę, ledwo rozpoczętą, przerwały wypadki, wskazując młodzieńcowi skromne stanowisko chętnie spełnianego obowiązku. Przez lat parę przeważnie własne prace, próby i usiłowania przewodniczyły wykształceniu młodzieńca; dopiero w r. 1833 w Dreźnie rozpoczęła się nanowo właściwa, systematyczna nauka. Akademia drezdeńska nie mogła wtedy zaspokoić wszystkich potrzeb; była zbyt sztywną i jednostronną; udał się więc Lesser, oznaczony już jako uczeń celujący, do Monachium, gdzie działali wówczas i nauczali: Overbeck, Schnorr von Carolsfeld, Kaulbach. Tu nanowo zaczął młodzieniec studyować naturę; kompozytę uczył się od Schnorra. Kształtując działający na niego monumentalne, wobec uczniów i przy pomocy zdolniejszych z pomiędzy nich powstające, dzieła nauczycieli. Owcześnie styl monachijski: pojmowanie i odczuwanie życia, ustosunkowanie myśli do kształtu, natężenie i odcień kolorytu, układ draperyi, sama wreszcie jakość przedmiotów obieranych do tworzenia — rozstrzygnęły o kierunku artystycznych zdolności Lessera; niższość daru przyrodzonego sprawiła, że złe strony mistrzów, Overbecka i Schnorra, w uczniu silniej się przejawiały, aniżeli dobre.

Lesser pozostał zawsze szlachetnym idealistą, poważnym umysłem, rzetelnym pracownikiem, znawcą zasad sztuki i jej historii; ale w obrazach jego poprzęta treść zanadto prześwituje temat, oblicza mają w sobie coś hieratycznego, symbol zzewnątrz wyprowadzony przeważa w nich nad życiem własnym ich dusz, w zjawiskach mało jest dramatyczności, a nawet tam, gdzie dramatycznego ożywienia zaprzeczyć nie można, jak w *Chrzanowskiej*, ludzie są jakby w nieswoich ciałach: istoty to trwożliwe i połowicznie żyjące, niezdolne w zupełności objawić się w kształtach, ruchach i barwach tego świata. Nie znamy jednej kompozycji Lessera, którejbyśmy rozumną nazwać nie potrzebowali; ale nie pamiętamy prawie ani jednej, któraby duszą do duszy przemówiła; a właśnie taką wymowność, takie krasomówstwo wywierających się wrażeń, samo jedno może wynieść malarstwo historyczne ponad archeologią i samoistną, niezależną od tematów i dokładnego ich wykonania, nadać mu wartość. Lesserowi brakło tego,

bez czego sama sumiennność staje się w sztuce wartością ujemną, czego żadna nauka nie da, co ze sobą na świat przynieść już potrzeba. Znacie ten płomyk, z którym Grecy wyobrażali sobie Psyche? On tego płomienia nie miał.

Takim był Lesser już w Niemczech, kiedy obierał właściwy sobie kierunek: ilustrowanie wieków średnich historii ojczyzny; takim przez całe życie, stojąc nieporuszenie w miejscu, aż do skonu pozostał. Około r. 1840 zaczął już pracować o własnych siłach, utrzymując ciągle stosunki z wybitnymi mężami w sztuce niemieckiej. Z Niemiec przysyłał obrazy na wystawę do Warszawy, gdzie wówczas malarstwu historycznemu przewodził czcigodny Januariusz Suchodolski, z żołnierza artysta, — odbierając gorące uznanie od młodej krytyki ówczesnej, a między innymi od Kraszewskiego. W latach 1838 i 1841 obrazy Lessera otrzymały zaszczytne wyróżnienia. Twórca ich poznawał wtedy coraz lepiej dawnych mistrzów; podróżując po Niemczech i Francji wzbogacał sobie pamięć i wiedzę i sądy wykształcał. Zamiłowany w rzeczach ojczystych, zbierał na Szlaku rysunki z zabytków sztuki piastowskiej i opisał je we współczesnej *Gaz. Codziennej* (r. 1839). Strona archeologiczna w obrazach Lessera zalecała je zawsze korzystnie, powiedzieć nawet można, że za niego dopiero malarstwo historyczne polskie zaczęło wchodzić na drogę ścisłości, stało się umiejętnem. — Część obrazów malowanych w Niemczech pozostała dotychczas na miejscu. Tak np. oryginał *Chrzanowskiej*, wraz z Habdankiem najgłośniejszej, znajduje się w Gotha, w galerii książęcej; w Rosenstein w Wirtembergiem przechowują pracę konkursową Lessera p. t. *Córka Cyda*.

W r. 1846 wrócił Lesser do kraju i zamieszkał w mieście rodzinnem. Urządził sobie z osobną pracownię i starannie ją odtąd utrzymywał i pomnażał. Z pracowni tej wychodziły przez lat dwadzieścia nie tylko obrazy historyczne, ale i religijne katolickie, których do kilkunastu naliczyć można; znajdują się one w różnych stronach kraju, przeważnie w kościołach wiejskich; jeden jest w Lublinie, jeden aż w Dynaburgu.

Do wykazu dzieł Lessera podanego przez czasopisma dodać wypada: *Zabicie Przemysława w Rogoźnie*, *Ucieczkę Łokietka z Krakowa*, *Wzięcie Jana Kazimierza we Francji*. Wszystkich obrazów olejnych wykonanych, będzie pewno ze czterdzieści, prócz szkiców, przerysów, rysunków do drzeworytów, akwarelli, powtórzeń i nawet prób reprodukcyjnych.

Najpopularniejszą a stosunkowo najlepszą pracą Lessera są jego wizerunki *Królów Polskich* (r. 1860), wydane przez Dzwonkowskiego z tekstem Jul. Bartoszewicza. Przy tych wizerunkach widok zgromadzonych w jedno miejsce sprawia rzetelne wrażenie samym pomysłem i całym układem swoim. Tow. Naukowe Krakowskie, w uznaniu historyczności pracy Lessera, zaliczyło go w poczet swych członków.

Szczerze oddany sztuce, cieszył się jej rozwojem i gdy się nadarzyła w r. 1860 sposobność do zaprowadzenia instytucji pomocniczej, posilającej artystów przez rozbudzenia zamiłowania pięknotworów w powszechności — był jednym z najgorliwszych założycieli Tow. Zach. Sztuk Pięknych i aż do skonu, czy to na stanowisku wice-prezesa, czy członka komitetu, okazywał się prawdziwie wylanym, pożytecznym i bezstronniejszym może od innych działaczem. Nowe imiona nie obudzały w nim zawiści, nie otwierały jątrzących się, cuchnących ran w miłości własnej. Sami niejedną chwilę spędziliśmy z nim na rozmowie o Matejce, Siemiradzkim, Brandt'cie. Nie było tam zapewne absolutnego uwielbienia, ale nie było też i ślinięcej się goryczy, niechęci i gniewu. Czuł się Lesser prześcignionym; tem lepiej, bo żył, nie sobą, ale powszechnością swoją i nie dniem dzisiejszym, ale jutrem. Ciche to wspomnienie, niechaj mu za pochwałą najszumniejszą starczy.

Na lat 15 przed skonem działalność Lessera zmniejszała się zaczęła. Nowe kierunki, nowi ludzie wypierali go z drogi; z wiekiem gasła i energia, siły fizyczne wypowiadały posłuszeństwo.

Ręka jednak nie przestawała wydawać szkiców, które ukrywały się w pracowni, — dostępne tylko dla grona znajomych. W rysunkach takich odbijały się nieraz wydarzenia smutki, współczesne. W ostatniej epoce życia pisywał Lesser artykuły o wystawach sztuk pięknych, udzielał wyjaśnień historyczno-archeologicznych, gromadził dawne ryciny, przerysowywał zabytki, krzątał się ciągle w pracowni przygotowywawszy, w zbiorach sztuki, i tak krzątającego się, śmierć zniechciana zaskoczyła w d. 7 Marca, r. b. Zwłoki pochowano na Cmentarzu wyznania Mojżeszowego pod Warszawą.

Samo zwrócenie się do przeszłości i postępowanie w raz obranym kierunku z miłością prawdziwą, wytrwałą i bezinteresowną, — świadczą o duchu, który ożywił Alexandra Lessera: czuł on się zupełnie synem tej ziemi, na której światło dzienne ujrzał. Ze wszystkiego, co po sobie zostawił, najmilszem może jest wspomnienie tego, że był rzadkiej zacności człowiekiem i szczerą, gorącą duszą, która wyłączności żadnej nie znała — i była taką, jakby ją wiekowe tradycje od kolebki wychowały.

S. K.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Przyszła nareszcie chwila pożegnania z ładną i miłą wdówką.

Emil, które ostatnie pół godziny wystawionym był na pociski jej oczów, uśmiechy ustek i zalotne minki, bo wdowa podobać się chciała, choć nic złego nie miała na myśli — poczuł się poruszonym, ujętym... niemal tak ładniuchną i świeżą wydała mu się jak Manusia, również pojętną, a nie równie pojętniejszą, bo śmielszą w obcowaniu.

Błyskawicą przeleciało mu po myśli życie w takim ślicznym gniazdeczku, z taką miłuchną istotą — czasem wycieczka do Warszawy, niekiedy odwiedziny u matki. Nie byłoby to prawie szczęście?

Emil, mimo młodości, był trochę leniwy; widok tego portu obudził w nim myśli spoczynku.

— Co mnie do Horpińskiego! Dla czego się mam upierać przy Maniusi, jeżeli ona woli p. Leona?..

To pewna, że pożegnał Bończynę daleko czulej spoglądając jej w oczy, niż przy powitaniu, i prawie przyrzekłszy, że wstąpi wieczorem, jeżeli tylko wtedy go nazad droga będzie prowadzić.

— Patrząc na nią, szepnął, wychodząc: — Nigdy by jej człowiek nie dał więcej nad lat dziewiętnaście, a ma pewnie dwadzieścia i parę! Wygląda jak panienka.

Pan Emil Paczuski już był powrócił ze swej wycieczki, z której żadnej innej nie odniósł korzyści nad tę, że się pani Bończynie przypomniał. Wstąpił do niej wieczorem na herbatę i aż do wniścia księżycy pozostał na milej rozmowie, której sędzina, wcale się do niej nie mieszając, bynajmniej nie przeszkadzała. Pod Rusinowym Dworem nie widział nic, oprócz dwóch ludzi pracujących około pola, a podszedłszy bliżej wraz z Jacusiem, ledwie nadzwyczaj złym psem zdołał się opędzić. Cała gromada ich strzegła wrót tak zajadle, że niepodobna było pieszo zbliżyć ku dworowi.

Wróciwszy, Emil mało-co się nawet Szalawskiemu wypowiadał ze swej śmiesznej wędrowni.

Najpierw potrzebował dobrze wypocząć, potem namyśleć się, co zrobić.

W Warszawie nie zastał już pani Bydgoskiej z córką, które na wieś wyjechały. Powiedziano, że pan Leon zakochany pociągnął za niemi.

Salon Zawierskiej stał pustką, bo i te panie na wieś uciekły. Miasto zaczynało się opróżniać i zamierać. Listy matki natęczyły wzywały Emila też na wieś. Stęskniona była za nim.

Paczuski wybrałby się być może do niej, gdyby podżegacz, niegodziwy Konrad, jednego dnia nie nadbiegł z doniesieniem, iż p. Sylwan Horpiński zniknął z miasta. Znaczyło to, iż być musiał niezawodnie w owym zaklętym Rusinowym Dworze.

Doskonały szpieg, jako wszystkie sługi, Konrad się nie mylił wistocie.

Horpiński, który miał własnego konia na stajni w Warszawie, zawsze gotowego na każde zawołanie, jednego ranka wyszedł ze swojego mieszkania, ubrany jak zwykle, wprost udał się do stajni, gdzie miał wierzchowca, siódło i mały tłomeczek—okrył się lekkim płaszczkiem od pyłu—niepostrzeżony, przeryzując się małemi uliczkami, wysunął się z miasta, dostał za Wisłę i kłusem ogromnym puścił się ku Garwolinowi.

Droga ta musiała mu być doskonale znana, gdyż, pomijając gościniec wielki, na którym mógł się z kim spotkać, jechał małemi bocznymi ścieżkami, a koń i on chwili się nie potrzebowali nad ich wyborem namyslać. Sylwan był jeźdźcem doskonałym, takim, jakim u nas bywa młodzień, co poczyna od dosiadanania oklep koni, na które ją podsadzać muszą woźnice, a potem już najszaleszych się nie obawia; jechał jak przyrosły do siódła, a długa podróż bez wypoczynku wcale go nie nużyła. Koń też był do niej dobrany i z jeźdźcem obyty. Szedł za nim, gdy zsiadł, kierowania nie potrzebował, zdawał się myśli zgadywać, przyspieszał lub zwalniał kroku, stosownie do natury gruntów, które przebywał. Zamyślony cały w sobie Sylwan Horpiński—jechał, wypoczywając mało i krótko po najlichszych karczemkach, a na popasie najczęściej ograniczając się kawałkiem chleba, cygarem i książką, którą dobywał z kieszeni.

Niczyjej posługi nie potrzebował około wierzchowca: sam go poił, czyścił i siódłał. Zajęcia te zdawały mu się nie obcemi i szły bez najmniejszej trudności.

Pominawszy umyślnie miasteczko, Horpiński prawie bez drogi, naprost pojechał ku Rusinowemu Dworowi. Był wieczór, powietrze duszne, gorąco wielkie, ale wicher rozpędzał chmury i deszczu się spodziewać nie było można.

Rusinowy Dwór wyglądał zdaleka smutnie, jakby turemna jakaś zagroda, opasany wysokim częstokołem, zpoza którego mało co drzewka młode, niedawno posadzone, w górę się wybijały.

Dachy budowli wewnątrz ogrodu stały zaledwie nad nie się podnosiły. Cisza panowała dokoła, przerywana tylko szczekaniem i ujadaniem psów zamkniętych we dworze, które najmniejszy szelest budził i niepokoił.

Zobaczywszy dwór zdala, Horpiński koniowi zwolnił kroku, jakby mu nie bardzo było pilno dostać się tutaj. Ręce skrzyżował na siódle, głowę zwiesił na piersi—dumał. Niekiedy oczy jego zwracały się na zagrodę i spadały, znużone, na ziemię.

Koń idący stępią, zbliżać się zaczął nareszcie ku wrotom i parę razy zarżał wesoło. W tej chwili gwałtowne szczekanie, ujadanie psów z wiojski dały się słyszeć od wrót i mogło się здаwać, że psy tłuką się o nie zniecierpliwione.

Wrota stały zamknięte jeszcze. Koń, zbliżywszy się do nich, rżał głośno i nogą kopać zaczął ziemię. Przez furtę ukazała się nakrótka twarz wąsata i natychmiast skrzyknęły wrota. Cała gromada psów wysypała się naprzód przez nie.

Musiała to być psia rodzina, gdyż wszystkie były do siebie podobne, różniąc się tylko wzrostem i wiekiem. Zaledwie ukazał się koń, gwałtowne szczekanie ustało, a psiska zaczęły tylko ujadać radośnie, podskakując do nóg Horpińskiemu i ciesząc się jego przybyciem. Parobek stary, w szerokiej, na ramiona narzuconej siermiędze, pozdrowił go niskim pokłonem.

Wnętrze zagrody inną miało fizioznomią, niż wszystkie dworki w tych stronach; widoczny był wszędzie jakiś obcy obyczaj w budowaniu, w rozporządzeniu zabudowań, w sprzętach gospodarskich, będących na widoku.

Dwór — chata dosyć duża, z małemi bardzo oknami, pokryta kalenicą, nieczem się nie odznaczała, oprócz, że gospodarskie przybory ubierały go dokoła. Na płotach schły hłodysze, o ściany oparte stały neculki i drewniane naczynka. Na kolku pod dachem zawieszono trochę z pola już wyrwanej kukuruzy. Kury, gęsi, kaczki uwijały się około progu.

Innej troski, oprócz o gospodarstwo, znać i widać nie było. Za dworkiem, który miał mały ganeczek wpół człowieka, obity deskami, zieleniał niedawno zasadzony ogródek, ale owocowe drzewka w nim młode były jeszcze i mizerne.

W prawo i lewo siedziały w części z chrustu plecione, częścią z opilków zbudowane szopy, stajnie, obórki i składy, a przy nich rozrzucone narzędzia rolnicze, brony, radła, plugi, wozy kute zajmowały plac dość obszerny.

W chwili gdy Horpiński wjeżdżał w dziedziniec, na progu w ganku ukazała się stara baba w szarej koszuli, w chuście na głowie i fartuchu, spojrzała ku wrotom i znikła.

P. Sylwan, zamiast do głównego wnijsia, skierował się ku rogowi przeciwnemu domowstwa, a za nim pobiegł żywo parobek, który mu otwierał.

Tu były drugie drzwi, stojące otworem. Horpiński zsiadł z konia, który, nie czekając, aby go wzięto, zawrócił się sam ku stajni.

Sylwan z sionki małej wprost poszedł nalewo, i znalazł się w izbie dość obszernej, czystej, o jednym oknie od dziedzińca. Nie było tu nikogo.

Komin, piec prosty, duża ława przy ścianie, stół na nogach krzyżowych, tapczan z siennikiem, okrytym jakąś skórą, i duża niemalowana skrzynia—były jedynym sprzętem tego mieszkania. Podobne ono było do izb czeladnych na folwarkach wiejskich.

Zaledwie wszedł tu Horpiński z rodzajem niecierpliwości, którą trudno-by sobie ktoś obcy mógł wytłómaczyć, zrzucił natychmiast płaszcz i odzież wiejską—wszystko aż do koszuli. Otworzył skrzynię i dobywszy z niej bieliznę i odzież, począł skwapliwie się przebierać, naprzód w szarą, grubą bieliznę, potem w chłopską rusińską siermięgę, buty i t. p.

Włosy nawet zarzucił na tył inaczej, niż nosił zwykle. Dokończywszy tej metamorfozy, jak prosty już parobek, nieokrywszy nawet głowy, żywym, pośpiesznym krokiem, wzdłuż chaty poszedł ku gmachowi. Nikogo tu teraz nie było. Psy, które towarzyszyły koniowi i panu do pierwszych drzwi, łaszcząc się i podskakując, pobiegły za Sylwestrem do ganku. Tu, nieprzywykłe snadź aby je puszczano do wnętrza chaty, zatrzymały się naszczekując wesoło.

Na twarzy Horpińskiego bladej, smutnej, widać było jakieś dziwne wzruszenia, oczy jego biegały niespokojnie.

Z sieni dwoje drzwi prowadziły na lewo i na prawo; Sylwan poruszył klamkę i wszedł do izby na lewo. Tu czekała na niego o parę kroków od progu kobieta słusznego wzrostu, z siwiejącymi włosami, twarzy rysów jeszcze pięknych, ale jakąś boleścią i wyrazem rozpaczliwym napiętnowanych. Pomimo wieku trzymała się prosto, głowę podnosiła dumnie, a ubranie jej wieśniacze, ukraińskie, było świeże i nawet z pewnem staraniem dobrane. Bielizna, fartuch, żółte buciki, lekka bekiesza narzucona na ramiona, była z cienkiego sukna i starannego kroju, pasek obejmujący kibić był z jedwabnych nici. Na szyi kilka różnych pasemek koralu i paciorek, ozdobione były medalikami i krzyżykami. Z tych jedne były szczerzo-złote, inne najgrubszego wyrobu, mosiężne. Chusta na głowie, jaskrawych barw, miała cechę wschodniego towaru.

Tak przybrana kobieta owa miała niezmiernie oryginalną fizioznomią i zdawała się skradzioną z jakiegoś obrazu południowej słowiańszczyzny. Twarz niemłoda, opalona, rysów delikatnych i dziwnie regularnych, z siwiejącami bujnemi wło-

sami, czarnemi oczyma palającymi—miała dumę królewską na sobie. Czuć było w niej panią, choć ubiór oznaczał włościankę.

Sylwan, zobaczywszy ją, rzucił się do bladych rąk, które wyciągnęła ku niemu. Z namiętnym wyrazem pochwyliła go za głowę, przycisnęła ją do piersi i długo puścić od siebie nie chciała.

Pierwsze wyrazy, jakie się z ust jej wyrwały, i cała rozmowa ludowym małoskim prowadzona była językiem.

— Tom czekała—czekała—oczym wypatrzyła za tobą Seliwanie—poczęła głosem śpiewnym, jakby nawykłym do nucenia tęsknych piosenek. Serce tam twoje przyrosło! Lepiej ci już wśród tych obcych Lachów i ty sam się zlaszyłeś!

Sylwan nie odpowiedział nic, błagając spojrział na nią i wzrok ten na chwilę zamknął jej usta. Poglaskała go po głowie i wskazała mu ławę, a sama poczęła się po izbie przechadzać krokiem poważnym, przechylając i wyginając jakby temi ruchami ulżyć sobie chciała i uspokoić się. Niekiedy bladą ręką białą gładziła czoło, tarła oczy. Stała naprzeciwko Sylwana, który usiadł i podpierał się na stole.

— Na długo?—spytała.—I nim miał czas odpowiedzieć, poczęła coraz głośniejszą i namiętniejszą.

— Ja-bym ciebie tu chciała mieć zawsze—ale jak ptaka w klatce utrzymać? Każdemu swoboda miła. Tobie potrzeba ludzi—tylko ja jestem skazana na wieki samotność i tęsknienie.

Przyjdą dni jaśniejsze, gdy ciebie mam, przyłecą jak błyskawice, i znowu mrok i cisza—i pustka i mogiła.

Sparła rękę na dłoni, na niej głowę pochyloną, i wpatrzywszy się w Horpińskiego, pozostała chwilę nieruchomą.

— Skarżycie na mnie słusznie, matuniu—odparł cichym głosem Horpiński—a któż winien żeście mnie na panicza wychowali—nie na parobka, jakim być powinienem.

— To on! to on! nie ja—podchwyciła gorąco matka.—Ja? jabym była ciebie nie puściła z domu, nie dała zlaszyć i wystroić na lalkę, uczyć szczeniactwa i mędrować—to on! on winien wszystkiemu: mojemu i twemu nieszczęściu.... naszym losom.

Obiecywał wiele—a potem... poszła precz Horpyna... a dzieciak został bezdomnym sierotą.

Milczeli chwilę.

— Nie oskarżaj go, matko—przerwał Sylwan łagodnie—lepszym on jeszcze dla nas był, niż inni podobni jemu, a dziś, dziś dawno grzeszne ciało oddał ziemi, a duszą stanął przed Bogiem. Lice kobiety zarumieniło się jakimś ogniem wewnętrznym, wargi zadrżały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3^{ch} AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

* A K T II.

(Dalszy ciąg).

*SCENA IX.

*Archidamia

Gdzież jest Agezylausz?

*Agezylausz

Przed acanią stoje.

***Archidamia**

Bogdajesz zdechł, lichwiarzu, bo gdyby nie twoje
Gardło i brzuch Pytona i uszy Midasa,
Nigdyby Sparta była na hańbę tak wielką,
Nie przyszła. Brzuchomówco straszliwy! Efo-
[rze,

Któremu siedział dyabeł wyroczni w żołądku,
Rozpruflabym cię nożem, a naród-by cały
Widział, że prawdę mówię. O! węzu ty suchy.
Przez szczury zamieszkany, co trzewa wygry-
[zły,

I pod serce się 1) teraz dostały! Poczekał!
Wkrótce ty się rozpadniesz, i Sparta obaczy,
Co w tobie było — przez co nie byłeś człowie-
[kiem.

***Agezylausz**

Uhamuj się acani.

***Archidamia**

Garkami na niego!

***Agezylausz**

Obywatele! Proszę, przeciwko wściekłości
Tych kobiet tarcze swoje zastawcie przedemną.

***Archidamia**

Żółwiu i grzechotniku!

***Głosy z ludu**

Pod gradem czerepów.
Cofajmy się z tym starym.
(*Odchodzą*).

***Chorus**

O! ludu wicherzycy!

SCENA X.**I-szy z ludu**

Goniec! goniec z Tegei!

***2-gi z ludu**

Co słyhać? Co słyhać?

***Goniec**

Leonidas tutaj, król, przybędzie wieczorem,
Z Tegejczykami, którzy mu na żołdzie służą 2)

***I-szy z ludu**

Wszystko się skończy wielką i okropną burzą,
Bo oto Agis wraca.... 3).
(*Wchodzi Agis*)

***2-gi z ludu**

Jak pastuch strudzony,
Z obdartymi szykami, smętny—zapyłony,
Bez gałązek laurowych, wraca młokos prawy.

***I-szy z ludu**

Patrzcie, jakie to chodzą spartańskie wyprawy
Po złote runo!

***2-gi z ludu**

Cha! Cha!

***I-szy z ludu**

A coście zrobili?

***Agis**

A wy co? ludzie, jednej nawet chwili
Niezdolni dotrwać tu [*ludźmi*] wolnemi.
A wy co? jako barany na ziemi.
Abyście zawsze pod berłem chodzili,
I pod psa byli wściekłego kłusaniem!
Leonidasa wam, prawda, potrzeba—
Żabom lakońskim! Oto węża z nieba
Zesłać powinien Jowisz z urąganiem,
Nad tą zepsutą i podłą naturą!

***I-szy z ludu**

Efory nowe cię zrzucili z tronu:
Błagaj, a tonu twego nie podnoś zbyt górą
Nad ludem.

***Agis**

Królem będę aż do zgonu,
A was traktować, jak dzieci, z uśmiechem.
Królestwa tego nikt mi nie odbierze.
Tego uśmiechu nikt nie zetrze z czoła!
Jeżeli kiedy Sparta się zaśmieje
Z dawnego błędu i z wieku dawnego,
To będzie do mnie uśmiechem podobna.

***I-szy z ludu**

Rzućmy się, wleczmy go ztąd przed Efory!

***2-gi z ludu**

Daj pokój! Młodzieź jeszcze [*się go*] trzyma.

***Agis**

O Kleombrocie, smętnemi oczyma
Widzę, jak wolność spartańska w żałobie,
Z miesiącem złotym raz ostatni wschodzi
I złoci stare mchy, kościołów runa....
Uciekaj królu, do gmachu Neptuna.
Bo ci uciekać się przed teściem godzi;
Ja pójdę z moją żałosną rodziną.
Jako król ginąć!—Wszystko mię odbiegło!

***Kleombrotus**

Bądź zdrow! Narody niech wiedną i giną,
Bo żyć nie godne.

***Agis**

Wstyd! Ty jesteś cegłą:
A przeciw gmachom gadasz budowanym,
Z takich jako mój....

Kleombrotus

I Bóg miał glinę,
Na takich ludzi!

***Agis**

Nie truj mię, nim zginę.
Umilowany przez umiłowanych.
Król nad królami żyłem, i w mogile
Nie będę mniejszy, niż w matki żywocie.
Żegnaj mi, królu, bracie Kleombrocie,
Ziemia oparła się miłosnej sile
I ma grzech, że swoim.... się nie dała. 4)

***Odmiana Sceny X.**

(*Dalszy ciąg*)

***I-szy z ludu**

Cóż to za krzyki?

***2-gi z ludu**

Agis wraca!

***I-szy z ludu**

Cóż, czy w wieńcu?

***2-gi z ludu**

Żadnych gałązek nie niosą.

***I-szy z ludu**

Wstyd! wstyd!

Lud

Na mównicę! na mównicę!

***Agis**

Usta mam pełne prochu i kurzawy,
Jakże wy chcecie, abym się przed wami,
Z twarzą tak czarną, z brudnymi włosami,
Stawił i zdawał rachunek z wyprawy,
Mówił o czarnej zdradzie Achajczyków:
Kiedy, jak słyszę, wy sami zdradzacie
Ojczyznę własną?! Mój królu i bracie!
(*Zwracając się do Kleombrota*)
Patrz nad tą chmurę urągania i krzyków
Czy warto królem zostać?

***Kleombrotus**

Bywaj zdrow, Agisie.
Przed moim teściem i przed moją żoną
Śmierć idzie dla mnie z Meduzą czerwoną
Na tarczy.

***Agis**

Szukaj azylum!

***Kleombrotus**

Broń mieczem! A ty się

***Agis**

Nigdy! nigdy! Kleombrocie,
Nie będzie mój duch zmazan zemsty grzechem!
Będę się bronił jedynie uśmiechem,
I mścił uśmiechem, a te ludu krocie,
Nie wytrzymają nigdy takiej broni,
I takiej zemsty, gdy garsteczka prochu
Uśmiechnie się im z grobowego lochu,
I nie z powagi swojej nie uroni,
Wiecznie płonąca.—Idź, idź do Neptuna,
Bo już tam widzisz pochodnię, to łuna
Zmiata nas z ziemi pustą błyskawicą,
A ludzi w duchy przemienia.

***Kleombrotus**

Broń życia.

***Agis**

Na co?

***Kleombrotus**

Na przyszłość, aż ta burza minie.

***Agis**

Duch taki, jak mój, żył w jednej godzinie,
I odżył wszystko, a prędszego bicia
W sercu już nigdy, już nic nie obudzi.
Jako to moje było, gdym czuł Spartę
W sercu zrodzoną.

***Kleombrotus**

Ludy są niewarte
I kropli jasnej krwi.

***Agis**

Ludy są z ludzi—
A jam człowiekiem. Nie truj mię, nim zginę.
(*Wchodzi*).

SCENA XI.**I-szy z ludu**

Płacz, płacz.

28 „Wiecznie głodny“.

2) Następuje przekreślony tekst: „Spotka się z Królem Agisem,
To grozi wojną domową, albowiem Agis z Kleombrotem nie pod-
dadzą się obcej przemocy“.

3) Ołówkiem na boku: „Agis powraca“.

4) Następuje w tekście: „Bądź zdrow!
„Lecz kiedy... by palcem dotknęta“
„Przez króla, takie spartańskie bliźnięta
„Jak wy...“

*2-gi z ludu

Powraca dawna Sparty chwała,
Król Leonidas!

*1-szy z ludu

Gdzie?

*2-gi z ludu

Już na pałacu
Kurz, błysk—i zbroje tegejskie na placu....
Szukają głowy Króla Kleombrota.

*1-szy z ludu

A cóż z Agisem?

*2-gi z ludu

Nic. 1)

*1-szy z ludu

Zręczny niecnota!

Rzecz to jest jego i wyrachowana 2)
Ta niby wgarda głęboko udana,
Która w narodzie drugą wgardę rodzi,
I Agisową powagę podmywa.
Chodźmy, bo czasem niebezpieczną bywa
Noc pierwsza, w której król nowy przychodzi.
I dom, z dawnego zakurzon, wymiata,
Chodźmy! ta noc zabiła kilka wieków świata.

*Chorus

Zaprawdę, a spokojna jest. Ostatnie krzyki
Zeszły z gajów i poszły z echem na morze,
I w srebrnych rosach zdzwonić zaczęły świer-
[szczyki.
Nawet w cedrowej króla zagrodzie i dworze,
Śpiewają ci bezsenni Dyanny śpiewacy,
Jakgdyby śpiew i brzęki były hymnem pracy.

Wszystko się trudzi, i noc odpoczynku nie ma....
A cóż królewskie serce, przed czasem pe-
[knięte?
Siedzi i twarz zakrywszy rękami obiema,
Myśli i do rąk czary łyzy wylewa święte,
A czasem je splakane do Boga podnosi—
Biedny duch, który widać wypoczynku prosi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Lutym 1883 r.

Sezon zimowy.—Choroby i zbrodnie.—Karnawał.—„G'schnas“.
—Korneciki.—Wystawa kuchenna.—Spirytyzm.

(?) Trudno sobie wyobrazić nawet większe przeciwieństwa od tych, które się złożyły na zimowy sezon w Wiedniu. Zamiast śniegu—sirocco i błoto; morderstwa, stan obłączenia i szalony karnawał; wystawa kuchenna i wystawy sztuki... a przecież wszystko to razem jest zwykłym objawem zwykłego życia i ruchu w stolicy. Najgorzej na tem wychodzą nerwy; niema czasu ochłonać z jednego wrażenia, już następuje inne, silniejsze—lub przeciwne. Wypadek jakiś wstrząśnie umysłami, zatrwoży; zdawałoby się, że wpłynę na ludzi, na wyobrażenia i wyczaję... Gdzież tam! jutro po nim ani śladu w umysłach, bo nowe trwogi lub nowe uciechy wszystkich zajęły. Jest to gorączka, której się oprzeć nie podobna, a która wywołuje ten naturalny, psychiczny objaw, że pod koniec zimy już ludzie tylko o tem myślą, żeby uciekać z miasta, odetchnąć spokojniej, zapanować nad sobą i nad swoim czasem.

Sezon tegoroczny możnaby nazwać kryminalnym. Pod względem zbrodni dostarczył on ta-

kiego mnóstwa i takiej różnorodności wypadków, że najojętniejszy człowiek i największy lekkoduch musi dojść do spostrzeżenia, iż ludzkość jest chora, że społeczeństwa przechodzą przesilenia, że wiele rzeczy się wali, że jakieś inne znaczą się czasy, a znaczą się krwawo, że doświadczenia wieków i nauki idą zawsze namarnie, bo nigdy społeczeństwa, lubo widzą różne grozy i klęski, nie zdobywają się w porę na tyle dobrej woli i siły, żeby im stosownymi lekarstwami zapobiedz. Albo też może jest to prawem historycznym, że katastrofy muszą w pewnych odstępach czasu następować, że nikt i nic przeciw nim nie poradzi, że ludzkość bez nich istnieć nie może. Ale chodźmy do wypadków. Schenk inżynier, człowiek młody, przystojny, zdolny — obrał sobie za specjalność oszukiwać służące obietnicą małżeństwa, wyłudzać od nich oszczędzane kapitałiki i w końcu zabijać je. Siedm ofiar jego dotąd naliczono.

Anarchiści, socjaliści skrajni, którzy mają jedno hasło: wszystko niszczyć.—popelnili rabunek i morderstwo w kantorze wexlowym za białego dnia; zamordowali jednego komissarza policyi i jednego pacholka. Inny, przyaresztowany, ranił trzech policyantów. Znalezione bomby dynamitowe. Wszyscy fabrykanci w Wiedniu i w okolicy żyją pod obuchem strachu. Anarchistom, nie idzie o zemstę na kimś, ale o wywołanie ogólnego bezrobocia, żeby proletaryat głodny musiał potem rzucić się na tych, którzy coś mają. Anarchiści nie chcą wcale poprawy losu robotników: przeciwnie chcą, żeby nędza wzrastała i wywoływała wściekłość.

Ludność wiedeńska powitała wprost życzliwie stan obłączenia—gdyż inaczej obawiała się, że nie będzie karnawału. Cała rodzina żydowska, pochodząca z Krakowa, trudniła się systematycznie wymuszaniem pieniędzy pod groźbą zniesławienia ofiar. Lekarz wojskowy, znany i szanowany, w obawie zniesławienia żony, która interweniowała raz bez jego wiedzy w sprawie assenterunkowej, daje sobie wydrzeć w ciągu trzech lat kilkanaście tysięcy złr. Inny wypadek przedstawia się w takich warunkach, że najsprytniejszy paryżki bulwarowy autor nie ułożyłby nie komieczniejszego. Więc z Aten przybywa professor, stary, do tego archeolog, ojciec siedmiorga dzieci, Rosoupoulos się nazywa, i idzie na lep oszustów. Żydówka przyszywa się w teatrze do jego surduta, goni za nim do Paryża, do Tryestu, do Aten, professor nie może się jej odczepić, napróżno i żona jego się wmieszała—aż nareszcie sądy sprawę dostały w rękę i zamknęły całą bandę na kilka lat. —Nadzwyczaj smutne robi wrażenie inny proces. Neminar, syn krawca z Cieszyna, zostaje professorem uniwersytetu w Innsbruku, mając lat 26. Zdawałoby się, że to szczęśliwiec, który zrobił świetną karierę, do czego mu i gładkość dopomogła. Przeciwnie: powodzenie zepsuło go, on chciał zostać milionerem, puścił się na grube oszustwa, które, jeżeli się powiodą, nazywają się spekulacją. W ciągu dwóch lat zarwał ludzi na 147,000 złr.—a sądy—znowu zgubne szczęście,—skazały go na 6 miesięcy i już jest wolny. Te wypadki, straty, strach i smutki nie przeszkodziły jednak karnawałowi. Trudno zrozumieć dlaczego — ale fakt jest, że od 20 lat nie było tu tak szalonych zapust, jak tego roku. Skala zabawy podniosła się przez to, że arystokracja, rodowa i pieniężna, brała udział w maskaradach, że zabawy blażeńskie „Narrenbunde“ były nieco przyzwoitsze, gdyż do udziału przypuszczono i kobiety, wreszcie, że świat artystyczny oddał na usługę szalowi wszelkie zasoby talentu, dowcipu i pracy. Najsłynniejszym był bal kostiumowy towarzystwa przyjaciół sztuki—na czele komitetu Rothschild. Publiczność przedstawiała wyłącznie ludowe typy np. hr. Taaffe Bośniaczkę, hr. Wodzicka włościankę zpod Mnikowa, hr. Konstant. Zamoyska—Bukowiniankę; hr. Mierowa—Huculkę. Były i całe charakterystyczne grupy a jedną salę zamieniono na alpejską wieś. Była chata, wójtowstwo, karczma, muzyka na wozie, szalas—wszystko nie *podług* natury, ale naturalne, przywiezione z dóbr Rothschilda.

Artyści urządzili t. z. „G'schnasball“. Jest to rodzaj pośredni między blażeństwem a salonem; wszystko pozwolone, prócz salonowego ubrania.

Zabawa ta dawała przegląd całego r. 1883. Więc odtworzono prater z jego widowiskami, gabinety lalek, np. Loreley, po której włosach z konopi łążą żaby, lalki przedstawiały cały komitet artystów siedzący przy bankiecie, wszystko portrety doskonałe, lalki udawały publiczność przepełniającą komory telefoniczne. Wystawy historyczne i artystyczne przedstawiono w karykaturach: ze starych garnków, pantofli, słomianek i t. d., po składano zbroje wybornie ludzkie; karykatury obrazów najcelniejszych, były mistrzowskie, rozkupiono je też za kilka tysięcy. Ściany wielkiej sali pokryto dekoracyami, przedstawiającymi nowy ratusz, nowy teatr, nowy uniwersytet i Ringstrasse, wszystko w karykaturze, wszędzie pełno portretów; kilkunastu artystów pracowało nad tem codzień od g. 8 do 12 w nocy przez kilka tygodni. Ale też na fundusz wsparć i rozwoju sztuki, bez zebranych, własną pracą i dowcipem zebrali znaczne sumy. Rzecz godna naśladowania. Jak oni się przytem bawia, ile tam jest marnotrawstwa talentów i humoru! Jednego tylko brak: elegancji, gładkości form; czyżby się one z prawdziwą niekrepowaną wesołością nie godziły? Jeszcze jedno raz i w ogóle całe życie społeczne wiedeńskie na tym punkcie poprostu sfixowało. Osią zabawy, głównym jej przedmiotem, tem, co ją znamionuje, jest nienawiść i lekceważenie Czechów; bez przedrwiwania Czechów niema tu zabawy, niema towarzystwa, w ogóle wszystko inne jest tylko dodatkiem do tego przedrwiwania. Jest to objaw nędzny, małomiasteczkowy, ale zarazem wskazówka całego dziejowego procesu, który się w Austrii odbywa. Niemcy tutejsi o Polakach nie chcą nic słyszeć, radziby nawet nie mieć z nimi żadnych związków, być tylko sąsiadami, i to dobrymi sąsiadami; za to Czechów radziby zgnieść, zniszczyć, wytępić.

Bal polski cieszy się też z każdym rokiem większą sympatią; mazurówi przypatrują się Niemcy z rozkoszą, a Niemki już się i uczą potrosze, a korneciki damskie z polskiego balu są przedmiotem pożądliwości. Pod tym względem panują wyścigi. Tego roku korneciki te na różnych balach przedstawiały: biurko z przyborami, lokomotywę, kalendarz, wachlarz, kołczan polski z amorkiem i strzałami, serce i t. d. Jest to osobny przemysł, który u nas powinien się rozwinąć, gdyż dotąd i na nasze bale w kraju sprowadzane bywają korneciki z Wiednia. Nasze komitety balowe powinnyby nareszcie już temu zapobiedz. Sądząc po zbytkowności karnawału, należałoby mniemać, że w Wiedniu interessa idą świetnie. Gdzież tam!—przeciwnie, jest zastój, lecz temperament lekkomyślny ludności—nie dba o to. Niema też śladu zastanowienia. Był tu apostoł, nie wieczorków, ale ubrań wełnianych, prof. Jaeger; głoszone, że pojawiają się na balach jego normalne wełniane ubiory, na prelekcyach jego objawiały kobiety wielki zapal do wełny i prostoty — ale skończyło się na ochocie.

Wystawa kuchenna, taka, jaką tu urządzono, nie ma żadnego celu ani sensu, prócz tego, że daje sposobność do hecy, do libacji. Okazano wszelkie *zbytkowne* produkty kuchenne i zbytkowne zastawy. W piwnicach zaś urządzono łożę do kosztowania, to znaczy, że tam do północy bankietowano. Głośni restauratorzy i kupcy szkła i bielizny stołowej, zrobili sobie reklamę, a publiczność tłoczyła się, tak, że w kilka dni było czystego dochodu kilkanaście tysięcy złr. Zapewne, że wystawa kuchenna mogłaby mieć użytek i pożytek, ale sposób urządzenia jej—to rzecz nader trudna. Rozumne i tanie żywienie się, to kwestya zdrowia i dobrobytu. Ktoby wystawę kuchenną tak urządził, żeby tym celom dopomógł, miałby zasługę. Tutaj sprawy tej nie brano poważnie; była to jedna z karnawałowych zabaw. Niech się bawia; co nam do tego, byleśmy ich nie naśladowali.

Do wielkich karnawałowych uciech przyczyniło się zdemaskowanie spirytyzmu.

Nie do uwierzenia, a przecież prawdziwe, że tysiące ludzi w Ameryce, w Londynie, w Wiedniu uprawia sport spirytystyczny, daje się wodzić za nos oszustom, nie zastanawia się wcale nad tem, że jeżeli już duchy chciały i mogły znosić się z nami, to w każdym razie wymyśliłyby w tym

1) Do tego miejsca sięgają dwie jeszcze odmiany.
2) „Udał przeciwko Agisowi wgardę“.

celu jakieś mądrzejsze i przyzwoitsze środki, niż rzucanie skrzypcami i pantoflami i t. p.

Słynny na obu półkulach Bastian został zaproszony do arcyksiążąt; produkeyom spirytystycznym przygrywał stary baron Hellenbach na fortepianie, duchy się ukazywały. Lecz arcyksiążęta przygotowali zasadzkę; za duchami zamknęły się drzwi—i Bastian biedaczysko uciekł bez butów, zostawiając przybory, któremi się stroił jako duch.

Sprawa ta nabrała ogromnego rozgłosu. Wiedzieć się cieszy: co więcej, przybył niemniej słynny Cumberland anti-spirytysta. I ten u arcyksiążąt popisuje się zdumiewającymi *sztukami*, które są główną forszą, takzwanych mediów — ale zaraz objaśnia sposoby, wydaje sekreta. Zawita on do Warszawy podobno, skoro już tutaj nabiera oklasków i guldenów. I trzeba rzeczywiście przyklasnąć: to zdzieranie maski z oszustów, bałamucających słabe głowy i działających na słabe nerwy, jest to także jeden ze sposobów stosowania się do owego wołania: „Ducha nie gaście“.

Geraldina Calverley

SZKIC Z DZIEJÓW WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ AMERYKI.

(Dalszy ciąg).

Gazety dawały znać kolejno o nieszczęśliwej bitwie pod Germontown, o dzikich szturmach przypuszczanych do twierdz amerykańskich, przez walczących na żoldzie angielskim Niemców, o uderzeniu wszystkich sił generała Howe na Waszyngtona i przegranej pod White-marsh. Bohater Ameryki pisał do kongressu list rozdzierający o stanie tej garstki ludzi, którzy się zwali jego armią. Nieprzyjaciół mógł ją ścigać nie potrzebując szpiegów i straży przednich—„mógł iść za nią trop w trop po śladach krwi, zostawianych na śniegu“.... Żołnierze amerykańscy nie mieli obuwia, żołnierze amerykańscy nie mieli co jeść i otwierali się przed nimi tylko dwie alternatywy okrutne: „umrzeć z głodu, lub rozproszyć się“.

Nie rozpraszali się jednak; zmarznięci, zgłodniałi, trzymali się razem siłą mocy cudownej, i walczyli, stawiali opór, wznosili ku niebu gwiazdzisty sztandar Ameryki a Geraldina czytywała to wszystko—czytywała to wszystko mężowi. Gdy wieczorami wracał do domu, ona, która już uspiła dzieciątko swoje, siadywała przy nim i czytywała mu.

— Jakże będą sny jego nocy?... Ona nie pytała o to: „Ten jest bohaterem, kto spełnia powinność swojej!“

Naraz w mieście samem zaczęło coś wrzeć; ludzie stawali na ulicy i mówili coś sobie do ucha, w uniesieniu wymykało się z tych, lub owych ust słowo głośnie, aż Mrs. Greene przyszło udzielić Geraldinie wieści wstrząsającej. Waszyngton zbliżył się do miasta o dwadzieścia tylko mil (angielskich).

Zima 1777 roku przybywała z zapowiedzią srogą mrozów i śniegów wielkich i oto wśród lesistej puszczy, przerzniętej głębokim wąwozem Valley-Forge, ciągnącym się między lesistemi wzgórzami a rzeką Shuylkill, tysiące siekier dziwnie odważnych osadników poczęło walić stare drzewa dziewiczego lasu, tysiące rąk poczęło budować z okraglaków chaty i szopy—i armia amerykańska pod osobistą wodzą Waszyngtona zajęła tam leże zimowe.

W mieście były też serca, drżały ręce, wszystkie oczy ciskały blaski gorące, i Geraldina zapytała męża—czy wie?

Wiedział. Był żółty jak cytryna, siwych włosów przybywało mu codzień, Geraldina słyszała, że sen odbiegł go prawie zupełnie, lecz nietylko noce całe rozmyślał. W dzień prawie ust nie otwierał, prawie nie puszczał z nich głosu—dumał, dumał bez końca i jak duch pokutujący, targany nieusmierzonym nigdy niepokojem, kroczył

nieustannie po komnacie swojej kwatery, tam i napowrót. Na nieszczęście, kobieta popełniła wielką nietrafność, pochodzącą z braku znajomości serca ludzkiego, serca męskiego. Pokazała mu raz ukradkiem zdobyty rozkaz dzienny Waszyngtona do wojska i R. Calverley spotkał tam nienawistne mu nazwiska i lica zapalały mu rumieńcem. Zgnoił w rękę papier i cisnął go w ogień, płonący na kominie. Przypadek zdarzył, że utworzona z tego gąłka, lecąc trafiła w główkę dziecka, które już chodziło i siedziało właśnie na macie rozłożonej przed ogniem. Mała Maya przeleciała się i rozplakała, ale ojciec potrącił ją jeszcze gniewnie, gdy schylał się, aby podnieść papier i rzucić go w płomienie, już teraz mierząc lepiej. Geraldina wzięła dziecko na ręce, aby je utulić, a w tej chwili zabrzęczały na progu ostrogi. Adjutant pułkownika Oliver, przybywał do majora Calverley, wzywając go do głównej kwatery.

Spotykała go tam niespodziewana nowina. Szykowało się wyprawa, w której miał wziąć udział, mianowany go szefem pułku i dawano mu nad nim dowództwo, bo pułkownik Oliver nie mógł opuścić burzącego się niespokojnie miasta, i zostawał jego plac komendantem, zlewając swoją władzę nad pułkiem na Calverleya. Była przecież chwila, w której ten zaważał się z przyjęciem tego awansu, ale chwila tylko. Stał przed pułkownikiem, jakgdyby namysławiając się i patrzył w ziemię, aż nagle uderzyła mu na błądą twarz fala krwi gorącej i podniósł głowę ruchem szybkim. Przyjął, nie żądał nawet zmienienia warunków, uciążliwego dla człowieka mającego rodzinę, a to, aby wyruszył tegosamego dnia w nocy. Ze względu na ludność, przypuszczalnie donoszącą Waszyngtonowi o ruchach wojsk angielskich, trzymano się systemu wymarszów nagłych i dokonywanych w tajemnicy. Ralf Calverley zgodził się na wymarsz, postanowiony o północy.

Tensam szatan, który, kusząc Chrystusa, wywiódł go na górę wysoką i ukazał mu z jej szczytu królestwo pychy ziemskiej—tensam szatan przystąpił teraz do ambitnego człowieka. Dawano mu w ręce pułk konnicy angielskiej: stary pułk dragonów, doskonale wyćwiczonych, doskonale uzbrojonych, siedzących jak centaury na ogromnych, mocnych koniach, i gdy gromada odartych nędzarzy, otoczonych przez wzgórze puszczy dzikiej, zerwie się dziś ze snu na sygnał trwogi, on ukaze się im nagle w potężnej władzy nie takiej, jakiej odmawiali mu niegdyś, aby wpaść im na kark, deptać, tratować, ciąć szablą z góry, a potem pędzić przed sobą gromady niedobitków, wziętych w dyby niewoli.

A gdyby on zrobił jeńcem swoim Waszyngtona? Gdyby Waszyngton musiał oddać mu szablę? Szatan wywiódł Ralfa Calverley na szczyt marzeń mściwych, i kupił od niego duszę nędzną.

Rada wojenna, przyjęcie instrukcji, odpowiednie sprawienie pułku, zajęły tak czas nieszczęsnego człowieka, że ledwo na moment krótki, i to w chwili ostatniej, ukazał się w domu. Gdy zaczął się szybko ubierać, gdy przypasywał pałasz i sięgnął po pistolety wiszące nad łóżkiem, Geraldina zrozumiała położenie.

—Idziesz na swoich!—wykrzyknęła i w rozpacz chciła mu niedopuszczyć zbrojenia się, ale on ją odsunął na bok ręką gniewną.—Wezmę dziś od nich liczbę za niesprawiedliwość ich—rzekł z błyskiem oczu namiętnym i próżno już nieszczęśliwa rzuciła mu się do kolan, próżno czepiała się nóg jego.

—Kobietol nie zastępuj mi drogi mojej—zawołał. Dostaje mi się do rąk czara ze słodkim napojem zemsty i chcę ją pić....

Gdy zrozpaczona wyrzuciła z ust okrutne słowo bratobójstwa, Ralf Calverley zbłądził, ale przystąpił mu zaraz do pomocy szatan nowy—karłowaty, potwornie skręcony szatan sofizmu i zawołał przez usta jego, że idzie właśnie na ratunek braci, podstępnie uwiedzionych przez kilku marzycieli i kilku pysznych, ambicyą pijanych ludzi. Czyż wojna z Anglią jest możliwa, czy przedłużanie jej nie jest szaleństwem zbrodniczym, leżącym w interesie kilku jednostek zuchwałych? Położyć jej koniec, to zbawić kraj i ludzi, którzy bezrozumnie giną.

Geraldina była już jak ktoś obłąkany, i nie sprzeczała się z nim o słowa. Gdy wyszedł, za-

częła nieszczęśliwa przywoływać litości Boskiej, aby jej dała śmierć—jej i dziecięciu, które urodziła Ralfowi Calverley.

Jaką była dla niej ta długa noc zimowa, jakim był dzień następny? Już mroczyć się zaczynało, gdy Mrs Greene zapukała do drzwi, a była zmieszana, blada, patrzyła na Geraldinę wzrokiem smutnej litości, aby powiedzieć jej w końcu, że rozeszła się po mieście niedobra wiadomość, co do losu wczorajszej wyprawy Anglików na Valley-Forge. Została odparta ze stratą, Amerykanie wzięli wiele jeńców.

W pierwszej chwili uniesienia, nieszczęśliwa kobieta wykrzyknęła radośnie:—Bogu chwała.... i dopiero druga jej myśl była niepokojem o męża. Co się z nim stało? Wojsko angielskie, jeżeli odparte, powinno było już wrócić do miasta, dlaczego zatem nie ma go?

I nagle uderzył ją wyraz smutnej litości w oczach podeszłej przyjaciółki. — Czy Ralf zginął? Usta jej zrobiły się białe, gdy pytała, skoro przecież usłyszała odpowiedź, że nie — że dostał się tylko do niewoli—opanowała ją rozpacz cięższa jeszcze. On w niewoli, on jeńcem.... ach, to musiała być także śmierć, tylko stokroć okrutniejsza: śmierć zbiega zpod chorągwi swojej, śmierć renegata, śmierć zdrajcy!

Teraz musiała nieszczęśliwa stać się znów żoną tylko. Przysięgła temu człowiekowi wiare dogonną i powinna znaleźć się teraz przy jego boku. Żadne perswazyje, żadne słowa Mrs Greene nie mogły wstrzymać jej postanowienia. Mówiła jej o dziecku, ale cóż dziecko znaczyć mogło w tej chwili? Ojcu tego dziecięcia zawiązywano może teraz właśnie oczy—aby zadzierzgnąć mu stryczek na szyi.

Geraldina w kilka minut potem była gotową do drogi. Zostawiała za sobą wszystko drogie, wszystko posiadane na świecie, licząc na miłosierdzie Boskie i litość dobrych ludzi. Tknęła ustami czoła śpiącego dziecka i z przewodnikiem, którego jej wyszukała Mrs Greene, puszczała się w podróż swą straszną. Odbyła ją konno, wedle obyczajów stron i czasów tamtych, a było blisko północy, gdy wśród lesnej głuszy, zagrzmiął nagle głos:—Kto idzie?—Była to placówka amerykańska, która zastąpiła drogę Geraldinie. Nie chciano jej puścić dalej, nawet samej jednej i ledwo na błagania najwyższe zgodzono się zaprowadzić ją do najbliższego posterunku, gdzie znajdujący się officer miał rozstrzygnąć o jej losie. Jechała tam już sama tylko, a żołnierz amerykański prowadził jej konia za cugle. Nie śmiała pytać go nic, nie śmiała nic do niego mówić, bojąc się, aby jakieś słowo niezręczne, nie spowodowało zawrócenia jej w tył; możeby tak zrobił, wiedząc że to jest żona Ralfa Calverley?...

Przecież officerowi musiała się do tego przyznać. Na błądą twarz wybił jej gorący rumieniec wstydu, gdy wymówiła nazwisko nieszczęsne, lecz zarazem oczy napelniły się łzami. Officer był człowiek młody i zjęła go litość nad niedolą, tak okrutną, niemniej i on mógł uczynić dla niej to tylko, aby jeden z żołnierzy powiódł ją dalej, do kwatery dowódcy, którego pułk dawał dziś straż obozowi. Jechała więc znowu naprzód, a przewodnikowi jej, zatrzymanemu przez placówkę pierwszą, posłano rozkaz natychmiastowego powrotu, z kąd przybył. Odprowadzono go daleko poza wyciągnięty łańcuch widet amerykańskich, lękając się zdrady jakiegś, zatem Geraldina pozostawała sama jedna w obozie, który teraz był dla niej obozem wrogów.

Czy spotka tu jaką żywą duszę znajomą? I pragnęła i bała się tego, lecz jakżeż da sobie radę nieszczęśliwa, jeżeli znajdzie się wobec zimnego i surowego dlań sądu ludzi, którzy odepchną w niej żonę odstępcy? Jechała—księżyc świecił blado przez białawe chmury śniegowe, wiatr przeciągły świstał, wpadłszy w szyję wawozu, aż na koniec ujrzała przed sobą ciemną masę kilku budynków, z jednym tylko mrugającym w środku światłem. Przewodnik odpowiedział na hasło, koń Geraldiny został zatrzymany przed dużą, niską chatą, z której po chwili wyszedł ktoś do niej. Znowu odbyła się wymiana słów badających, znowu nieszczęśliwa musiała powiedzieć nazwisko swoje, i officer służbowy, ociągając się, kręcąc gło-

wą, poszedł zameldować ją generałowi. Gdyby nie piękna, młoda, blada twarz nieszczęśliwej, którą dawało widzieć skierowane na nią światło latarni, gdyby znów nie litość, której się oprzeć nie umiano, byłaby zapewne musiała czekać na dworze do rana, lub odprowadzono ją w tył, odprowadzając od placówki do placówki. Na szczęście nie stało się tak i officer powiedział: — Oznajmie generałowi, jeżeli nie śpi jeszcze.

Wczorajszej nocy wrzał tu wokoło bój okrutny, wczorajszej nocy nie zamknął tu nikt oka i teraz miał każdy prawo do spoczynku, przecież zaraz w minut parę przypadł do niej żywo officer służbowy. — Pan generał prosi — zawołał, a Geraldina nie mogła powstrzymać okrzyku, bo w wysokiej postaci, która też poza nim ukazała się w ganku, poznała Filipa Honeywooda!

To był generał, u którego miała zebrać liście!

A przecież nie spotkała jej mimo to pociecha żadna. Ściskając jej ręce zziębłe, prowadząc ją przed ogień, płonący na komini, rzekł jej na całe powitanie słowa prawie okrutne: — Ach! po co znalazłaś się tu pani?

Po co? Aby ratować nieszczęśliwego swego męża! Wiedziała, że mu grozi śmierć okrutna, śmierć tortury najstraszniejszej — śmierć hańby, i dla tego ona tu jest. Padnie do nóg Waszyngtona, nie wstanie od nich, aż otrzyma łaskę...

Filip Honeywood spojrzał na nią smutnie. Waszyngton nie miał tu nic do czynienia, bo wyrok zawisł od sądu wojennego, a ci, co go składali, nie łatwo mogą się skłonić do przebaczenia. Ralf Calverley był osobistością wybitną... był...

Nienawidzonym przez wojsko całe za zdradę swoją, właśnie w skutek dawniejszej sławy i stanowiska zajmowanego w dziejach wojny Amerykańskiej. Był on jakgdyby hasłem do niej, a dziś to hasło stało się zdradą! — Ach! dla czego tu pani jesteś? — powtórzył generał Honeywood, nie mając serca do wyłuszczenia jej wszystkich przyczyn swoich, które tak przeważały szalę nieszczęścia, że nadzieja była niemożliwą.

Nie dla niej przecież. Ona nie mogła jej utracić, bo razem z nią musiałoby, albo skończyć się życie, albo stargać się rozum... Zdawało się, że już ucieka on od niej, bo słowa dobrego, doświadczonego przyjaciela nie mogły wyrwać na nią wpływu żadnego. Łamała ręce i błagała go — błagała najtkliwszymi wyrazami, nazywała go: swoim ratunkiem ostatnim, przyjacielem jedynym — aniołem stróżem swoim!

Przyszło do tego, że rozdarł sobie serce, aby pokazać nieszczęśliwej jego wewnętrzne. Przyznał się, że niegdyś kochał ją miłością tak gorącą, tak namiętną, jakiej nie uczuje już dla żadnej kobiedzi na świecie, gdyby nawet serce jego, oddane jednej i jedynej oblubienicy — ojczyźnie, mogło jeszcze wzruszyć się miłością kochanka. Powiedział jej to, aby uczuła, czym jeszcze w tej chwili jest ona dla niego, i że wszystko — wszystko co nie przechodzi granic możliwości, uczyniłby dla niej. Ale ona straciła już pojęcie, dokąd sięgają granice takie i wznosząc zalane łzami oczy, wołała: — Ach ratuj!... ratuj go!

Filip Honeywood nie mógł znieść dłużej takiej tortury. Przytem noc upływała, jutro rano ze światłem dnia wschodzącego wybijała dla niej ostatnia chwila ziemskiego istnienia, i generał Honeywood poprowadził żonę do męża, aby go dziny te ostatnie, upływały im razem. Gdyby Calverley był katolikiem, byłiby mu przyprowadzili kapłana do przygotowania go na drogę wieczności; dawny przyjaciel otworzył drzwi jego więzienia, aby mu dać na pomoc w tej przepowie ostatniej kobiecie kochającą. Sam przecież nie wszedł z nią — nie mógł! Było mu zbyt ciężko widzieć w tem położeniu okrutnem przyjaciela niegdyś, towarzysza opromienionego chwałą rycerską i pięknoscią szlachetnych zapalów młodzieńczych. Otworzył przed Geraldiną drzwi i cofnął się żywo od progu, na którym i ona nieszczęśliwa została, nie śmiąc posunąć się dalej, odezwać się, spotkać wzrok męża. Izdebka była mała, słabo oświetlona jedną lojową świecą; tapczan z twardą pościelą żołnierską, widocznie nieporuszoną, stół z desek i na nim obok tej świecy z knotem długim, nieobjaśnionym przez

nikogo, dzban z wodą — oto było wszystko, a wśród tego na zydłu drewnianym siedział Ralf Calverley z głową, na rękę opartą. Czy drzwi zostały otworzone tak cicho, że tego nie słyszał, czy też tylko nie odwrócił głowy, nie spodziewając się ujrzeć żadnej twarzy przyjaciela. Miał na sobie jeszcze swój czerwony mundur angielski ze złotymi szlifami, tylko jeden rękaw był rozpruty, a rękę otaczała bielizna skrwawiona.

Kula amerykańska, kula bratnia, strzaskała mu prawe ramię i wtedy puścił cugle konia, wtedy uczyniono go jeńcem. Geraldina, długo nie widząca nic, prócz ciemnej jakiejś postaci i tęczy kół w kolo zamglonego światła lojówki, nagle rozeznała ten szczegół — zobaczyła rozpruty rękaw, krwawe plamy na bieleźnie i wydarł jej się z piersi krzyk: — Ranny! — zawołała — ranny! a on zerwał się gwałtownie. Widok żony, zadał mu okrutny ból serca, ból, jakiego może nigdy jeszcze nie zaznał. — Ty tu? — jęknął i jeżeli twarz żywego człowieka może mieć rzeczywistość trupa bladość, to tak bladym było oblicze, które zwrócił ku niej. Przecież wlepiwszy w nią oczy, zaczął nagle wątpić, czy to jest ona rzeczywistość, czy tylko zjawisko palącej go gorączki? Nogi zachwiały się pod nim. Padł na stolek, a wtedy nieszczęśliwa z płaczem, z łkaniem, próżno powstrzymywanym, rzuciła się ku niemu. Tak, to była ona — tak oblewać ręce i nogi jego łzami, mogła ona jedna na świecie i twardy ten człowiek zmieknąć na wsk. — Po coś przyszła — wymawiał jej łagodnie — po co podważasz sobie ciężar boleści, który ci nieść kazałem? I tak wielkim musi być — twój krzyż...

Zjął go żal gorzki, że złączył z życiem swoim to życie dobrej, kochającej kobiety. Nie ona grzeszyła, a ona cierpieć będzie... Mówił jej to, nie wymawiając jednak słów pewnych, nawet teraz, nawet przed nią, nie uznawał się za ambignego przestępcę, ale za poszkodowanego przez niesprawiedliwość ludzką człowieka. Los mu nie chciał być przychylnym, i teraz nadszedł koniec...

Czy nie łąza zwiłżyła mu oczy? Położył rękę na głowie kłęczącej u nóg jego Geraldiny i zaczął ją przeproszać za wszystko, co przez niego ucierpiała. Wspominając o dziecku, miał czasem głos tak przyciszony, jakgdyby kurez bolesny ścisnął mu gardło. Wymówił przecież słowa okrutne:

— Zmień nazwisko Geraldino, nazywaj się panieńskim mianem twoim i niech córka nasza tak się nazywa. Niech żyje dla ludzi tylko Maya Hawthorne.

Kobiecie pękało serce i on to zrozumiał. Jak za szczęśliwych dni ich spokojnej miłości, zaczął jej gładzić włosy na głowie i spostrzegł, że były wilgotne. Wilgotnym było i jej podróżne okrycie z grubej, ciepłej białej, zaczął też przeproszać ją i za to! I to dołączone do wszystkiego co dlań przesłał... Noc okrutna i jeszcze z taką niewygoda ciężką...

O śmierci swojej nie rzekł wyraźnie słowa żadnego, tylko dał jej jeszcze rad kilka, aż w końcu poprosił o pocałunek jej ust słodkich. — Jeden tylko, ukochana, jeden tylko... Daj mi go na tę drogę moją a potem zmówimy pacierz. Niedługo zaczniesz dzień, i trzeba zmówić modlitwę poranną.

Ona otoczyła mu szyję rękami, ale ten człowiek mocny wczół rzeczywistości jeden tylko pocałunek z ust jej gorących, przyciskających się rozpaczliwie do ust jego. Potem zaczęli się modlić. Ona mówiła głośno, on powtarzał za nią słowa pacierza w cichosci, gdy zapukano do drzwi. Była to już szósta godzina rano i czyżby miał to być już czas? Wszakże ciemno jeszcze było, dzień jeszcze nie zaświtał...

Geraldina, trzymająca ręce męża w rękach swoich, uczuła, jak palce jego zacisnęły się spazmem kurczowym, ale podniósł się natychmiast. — Jestem gotów — rzekł.

Ale nie — nie był to jeszcze orszak, mający go uprowadzić na miejsce egzekucji. We drzwiach stanął generał Honeywood.

Przynosił łaskę. Waszyngton dał ją przestępcy ze względu na nieszczęśliwą żonę, ale Filip Honeywood nie wyraził się słowami takimi. Szanując miłość własną nieszczęśliwego, powiedział krótko, że życie zostało mu darowanym,

— Nie chcę go, nie przyjmuję tego daru — krzy-

knął wtedy Ralf Calverley, ale Honeywood wlepił w niego wzrok surowy. Wyciągnął rękę w stronę nieszczęśliwej, która łkała teraz płaczem radosnym, stokroć cięższym do słyszenia, niż najokrutniejsze jęki boleści i przeszył na wskroś duszę Ralfa Calverley wyrzutem milczącym.

Spuścił więc głowę. Był to już człowiek zabity, zabity!..

Honeywood otworzył drzwi do znajdującej się obok izdebki drugiej. Tam był ogień na komini i tapczan, zasłany oila można wygodnie. Waszyngton przysłał tu z własnej kwatery sprzętów kilka i prosił Mrs. Calverley, aby przyjęła łaskawie tę jego gościnę. Podano jej gorącej kawy, lecz ona wzniosła na generała Honeywood wzrok błagający, którego znaczenie zrozumiał. Pierwsza nalana filiżanka była dla więźnia w izdebce sąsiedniej i zaniósł mu ją sam Honeywood. Gdy wrócił, postawiwszy ją tam na stole, Geraldina przypadła ustami do jego ręki i pocałowała ją, jak rękę dobroczyńcy.

On przecież uciekł od niej prawie natychmiast ta kobieta nieszczęśliwa wzruszyła go za nadto.

Wyrok Waszyngtona zmienił Ralfowi Calverley karę śmierci na areszt domowy, to jest na przymusowy pobyt we wsi Endicot, gdzie sędzia gminny Sweetapple odpowiadać miał osobą swoją za osobę więźnia. Po kilkunastu dniach ze względu na ranę zatrzymaniu go w obozie emerykańskim, wysłano żonę i męża pod amerykańską wojskową eskortą do Massachusetts, do Endicot. Dziecko już też było na rękę matki i wracała tak nieszczęśliwa w świat dawny młodości swojej.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Pamiętniki Heinego. — Rękopis niewydany Kant'a. — „Nasz kancelarz“ pana Busch'a — Książki w Niemczech i Anglii. — Francya. — „John Bull i jego wyspa“ przez Maxa O'Rella. — Gymnastyka. — Obyczaje. — Cena czasu. — Bufety — Rodzina. — Kobiety. — Swoboda panien. — Kobiety u ludu. — Oszukaństwo. — Reklamy. — Wnętrza domów. — Wygody. — Języki obce. — Anegdota o Mo-drzejowskiej. — Muzyka — Dzienniki.

(Dokończenie).

„Dziewczę piętnastoletnie podróżuje samo. Znam takie, które z północnej Anglii przyjeżdżają tak na pensję do Londynu. Tu skromności jej nie razi. Może kupić książkę, wziąć w rękę dziennik, bezpiecznie. Nie potrzebuje romanu czytelnego chować pod poduszkę — czyta go wśród rodziny, w salonie. Nawet dzienniki komiczne są równie dla niej, jak dla innych“.

Godzi się tu nawiasowo dodać, że, *dotąd*, u nas taksamo, niemal każda książka mogła bez niebezpieczeństwa leżeć na stole i dostać się w każde ręce, i że w Niemczech dotychczas literatura brudna nie istniała prawie. Francya stanowi tu wyjątek fatalny. Naturalizm i realizm powoli, coraz idąc dalej, doszedł do takiego stopnia, iż nawet koniec w XVIII — bezwstydem nie zrówna dzisiejszemu; ta tylko różnica dwu tych czynników, że terazniejszy jest obrzydliwszy i — zimny.

Tej paskudnej książki, na której panna Colombier zarobiła sto tysięcy franków — żadna kobieta szanująca się w rękę wziąć nie może.

„Pewna duma, (idziemy dalej) — będąca angielską cnotą, nawet w młodych dziewczętach rodzi uczucie potrzeby niezawisłości. Panienci z najbelszych rodzin przyjmują miejsca w biurach, malują na porcelanie, idą dawać lekcje dla zarobienia pieniędzy własnych. Są takie, co wolą jechać do Kanady, do Indyi, do Australii, jako panny do towarzystwa, niż siedzieć w domu bezczynnie“.

W klasie średniej w ogólności panny nie mają żadnych posagów, lub tylko wyjątkowo. Młody człowiek, któryby, starając się o pannę, zapytał:

co weźmie za nią? — dostałby natychmiast odprawę.

„Kobiety — pisze dalej O'Rell, — klasy mieszczańskie i kupieckie wyglądają świeżo i trzymają się czysto, ale u ludu nadzwyczaj zaniedbane są i brudne. Na ostatnim szczeblu społecznym koszula jest nieznana. Okrywają się poprostu lachmanami przegniłymi, obszarpanymi, twarze mają opalone, brudne, obrzękłe od wódki, włosy potargane, oczy popodbijane. Do szpitala nie idą, bo w nim-by pracować musiały, a wolą być wolne i mrzeć z głodu w rynsztoku.“

Odwróćmy oczy: obraz jest wstrętny.

Wśród rzemieślników — oszukaństwo i wyzyskiwanie jest prawidłem. Autor opowiada historię własnych trzewików kupionych na bal za 11 szylingów sześć pensów, które jednego wieczora nie wytrzymały. Nazajutrz poszedł upomnieć się o to u szewca: „Pokazałem mu *corpus delicti*. Zdawał się mocno zdziwionym. — „Co pan z temi bucikami robilesz? — spytał. — A cóż! — odparłem — wziąłem je do tańca! — A!... ba! — zawołał — nic dziwnego! Sens moralny, że należało za dobre 30 szylingów zapłacić.“

Posłuchajmyż teraz: czem jest w Anglii reklama.

„Przechadzałem się raz po Fleet-Street, gdy, z niezmiernem zdziwieniem mojem, postrzegłem ciągnących dwunastu więźniów skazanych na galery, z głowami pogolonemi, w ubiorach *convictów*. Za nimi szedł dozorca więzienny. „Ależ to srom jest, rzekłem w duchu, żeby ich pieszo tak prowadzić przez ulice, a nie przewieźć“. Byli parami skuci w kajdanki i mieli wszyscy Nr. 14. — Cóż to było? Anons nowego wodewilu, pod tytułem: „Czternaście dni więzienia“, który miał powodzenie w Criterion-Theatre.“

Ogłoszenie w „Atheneum“: „Do najęcia (sic) dziennikarz, tygodniowo, lub miesięcznie. Dostarcza wrażeń podróży, biografii i rozpraw.“

Z tego, co autor pisze o Londynie, przytoczmy tylko wiersz Shelleya, służący za godło:

Hell is a city much like London.

„Pień jest grodem, wielce do Londynu podobnym“.

Nic zato piękniejszego, miłszego nad dom angielski wewnątrz, nad jego urządzenie, wygodę, smak i staranie, z jakim wszystko obmyślane dla uprzyjemnienia życia.

„Niema nic smutniejszego, równie martwego — jak zewnętrzna strona wielkich miast w Anglii; ale nie znam za to nic wdzięczniejszego, nad wnętrze dobrego angielskiego domu. Są to raje wyrozumowanego komfortu i zbytku dobrze zrozumianego.“

„Jak ci Anglicy pojmują doskonale byt dobry! Co za mądre przewidywanie drobnych życia wymagań! Z jakim cudownym staraniem wszystkie wygody życia są wystudowane! Szesłagi dla poufnych rozmów, fotele na kółkach z pulpitemi do czytania, sofy z poręczami dla palących: zdaje się że każde siedzenie, odpowiada jakiejś naprzód odgadniętej potrzebie. Salony, parloary, biblioteka, pokój dla palących, każdy kąt ma właściwe przeznaczenie. Każdy Anglik ma swój *boudoir*, w sensie etymologicznym tego wyrazu, to jest małą skrytkę, niedostępną dla profanów, do której uciec może, gdy chce być sam, aby pracować lub odpocząć. Nazywa on to swym *growlery*, to jest właśnie tem, co Francuzi zowią *boudoir*“.

Zmuszeni jesteśmy opuszczać bardzo wiele, choć książka pełna treści, dostarczałaby jej do zajmującego sprawozdania nierównie więcej wyczerpującego. Pomijamy kuchnię i przepis robienia plum-puddingów... sprawiedliwość i jej wymiar, obchód Bożego Narodzenia, i t. d., i t. d.

„Anglicy — pisze dalej autor — bardzo mało obcemi językami mówią — ale z własnej winy.“

„Najważniejszem dla nich zadaniem zawsze utrzymanie godności własnej. Lękając się ją na

szwank narazić, nie dadzą wam nigdy wyższości nad sobą pod względem umiejętności języka. Znam wielką liczbę Anglików mówiących wybornie po francuzku, ale wolą wyrażać się po angielsku, obcując z Francuzami, aby języka ich nie kształcić.“

„Wyobrażają sobie, iż człowiek mówiący językiem obcym zawsze łatwo się na śmieszność narazić może.“

Autor przytacza tu dowcipne spostrzeżenie — Bismarka: „Nie można zaufać Anglikowi, który mówi po francuzku bez akcentu“.

Nieco dalej anegdota, której bohaterką — Modrzejewska; przywołujemy ją dosłownie:

„Pani Modjeska, artystka polska, która po angielsku z wielkiem powodzeniem grywała niektóre główne swe role w teatrze Haymarket i Court-Theatre, zapaloną raz była do odegrania czegoś w jednym z salonów Londynu. W końcu uproszono ją, aby coś deklamowała popolsku. — Ale nie będziecie mnie rozumieli — odpowiedziała — a ja rada-bym być ocenioną“. Nalegano tak uparcie, że musiała wreszcie uleść prośbom towarzysztwa, i przybrawszy postawę tragiczną, poczęła coś popolsku. John Bull i goście jego osłupieli z podziwu. A nazajutrz wiedzieli wszyscy, iż pani Modjeska — recytowała poprostu cały szereg liczb od jednego, aż do stu — nic więcej.“

„Se non e vero...“

A teraz coś o muzyce. „Wszystkie kobiety, mógłbym powiedzieć: prawie bez wyjątku, grają na fortepianie, ale na publicznych wystąpieniach wirtuozek, nie słyszałem nigdy żadnej z nich, grającej tak, aby mogła prawdziwego miłośnika muzyki zaspokoić. Grają bez najmniejszego wyrazu. Jeden z moich ziomków i przyjaciół, p. B., professor i kompozytor niepospolity, dający lekcje tego przekłętą instrumentu w jednym z największych zakładów wychowawczych dla panien w Londynie, skarżył się raz dyrektorce, że żadna z jego uczennic nie grała z uczuciem, że grze brakło wyrazu. — Ja — odparła mu z łagodnym uśmiechem dyrektorowa, nie zamówiłam też pana do uczenia moich panien — *sentimentu*“.

Według p. O'Rell'a, w Londynie wychodzi trzysta pięćdziesiąt dzienników, z których około pięćdziesięciu są poświęconych jest — sprawom religijnym.

„Dzienniki codziennie wychodzące, są olbrzymiemi przedsięwzięciami. Korrespondencye i depesze, kosztujące niekiedy summy bajeczne, nie dają się porównywać nawet z niczem podobnem na stałym lądzie Europy. Dzięki swobodzie prasy, dziennikarstwo nie występuje osobiście, jak we Francji. Artykuły nie mają podpisów, i, z wyjątkiem wtaimniczonych, nikt nie wie nazwisk redaktorów „Times'a“ i innych gazet codziennych“.

„Królem dzienników świata całego jest *Times*. Szesnaście jego kolosalnych stronnic, z których jedenaście zajmują ogłoszenia, ukazują się codziennie rano, i kosztują trzy pensy. Dziennik ten, którego sława i wpływ wielce były przecenione, nie należy do żadnego politycznego stronnictwa. Stara skrzypiąca chorągiewka, corana jademy tryska nalewo lub naprawo, a dzienniki kontynentalne przerażone są tem, co *Times* im przynosi. Tymczasem ten dziennik anonsów, który niby-to zna tajemnice wszystkich gabinetów europejskich — niema innego celu nad robienie pieniędzy“.

Na tem musimy się zatrzymać, nie wyczerpałszy ani połowy książki, w której więcej jest treści i myśli, niż w niejednym kilkotomowym dziele o Anglii. O'Rell umie pisać i nie szafuje próżnemi słowami dla rozcieńczenia rzeczy, która zyskuje na tem, iż jest ujętą żywo, barwnie, przedstawioną w faktach, a czytelnikowi zostawia łatwe wyprowadzenie wniosków. Są wszędzie zdrowy, trzeźwy, bez uprzedzenia i strony jasne równie są podniesione jak ujemne. Ze wszech miar godziłoby się to przetłómaczyć, gdy nawet Tissota u nas przekładano! Ależ p. Max O'Rell łatwym do tłómaczenia nie będzie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 4-ty tomu III-go powieści pod tyt.: **Widmo szczęścia**.

OD WYDAWCY.

Bluszcz wychodzić będzie w przyszłym kwartale

pod dotychczasową Redakcją

Warunki prenumeraty pozostają

dotychczasowe bez żadnej zmiany

a mianowicie w Warszawie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80,

pocztą kwartalnie rs. 2 kop. 50.

Tom drugi dzieła pod tytułem:

ROZRYWKI DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

wyjdzie w końcu Marca; — Prenumeratorowie „Bluszcza“ będą mogli takowy nabyć po kopiejek 50, w miejscach gdzie „Bluszcz“ prenumerują; — za przesyłkę pocztą liczy się 10 kop.

Tom I-szy „Rozrywek“ należący się bezpłatnie wszystkim prenumeratorom, którzy Bluszcz od początku roku prenumerują, został już rozesłany. Wrazie nieotrzymania raczą się szan. prenumeratorowie zwrócić z reklamacją tam, z kąd Bluszcz otrzymują.

TREŚĆ. Aleksander Lesser, (wspomnienie), przez S. K. — Któs, powieść, (dalszy ciąg) przez J. I. Kraszewskiego. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Geraldina Calverley, (dalszy ciąg), przez M. I. — Listy z zagranicy. (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Марта 1884 года.